

**EWA BARAŃSKA**

**MIŁOŚĆ PAULI A.**



Redakcja: **EWA KŁOSIEWICZ**  
Korekta: **MAŁGORZATA KOT**  
Projekt okładki: **NATALIA SMOLEŃ**

Tekst Copyright © by **STANISŁAWA BARAŃSKA**,  
Warszawa 2016  
[www.ewabaranska.eu](http://www.ewabaranska.eu)

Copyright © by **WYDAWNICTWO KLIN**,  
Warszawa 2016

ISBN: 978-83-62136-83-4

**WYDAWNICTWO KLIN**  
ul. J. Sobieskiego 10 m 72  
02-957 Warszawa  
tel. +48 501 686 786  
e-mail: [m.g.klin@op.pl](mailto:m.g.klin@op.pl)  
[www.wydawnictwoklin.pl](http://www.wydawnictwoklin.pl)

*Pamięci Marii Barańskiej,  
mojej nieodżałowanej Babci,  
której mądrość i szlachetność serca  
doceniłam zbyt późno*



Są marzenia, o których nie mówi się nawet najserdeczniejszym przyjaciółkom. To znaczy mówi się, ale w specjalny sposób. Na przykład: Dobrze byłoby podejrzeć jakiegoś fajnego chłopaka. Jasne, każda by chciała, lecz skąd brać fajnych chłopców w takim Łańcucie, skoro najfajniejsi to turyści, którzy tylko zwiedzają zamek, a potem odjeżdżają w siną dal. Samo miasto, położone w cieniu wspaniałej, magnackiej rezydencji, chociaż ładne, nie stanowi zbyt wielkiej atrakcji. Niemal wszyscy mieszkańcy znają się z widzenia, a mnie z wiekiem coraz bardziej to wkurza. Tak jak większość dorastających dziewcząt, wykreowałam w wyobraźni nie tylko postać idealnego partnera, ale też idealnych przyjaciół, idealnej pracy i w ogóle idealnego życia. Co gorsza, u mnie ta fobia wystąpiła w tak ogromnym nasileniu, że z żelazną konsekwencją postanowiłam owe górnolotne mrzonki zamienić w czyn.

Sama nie wiem, kiedy moja roztropność wymknęła się spod kontroli. Efekt? Najpierw doszczętnie zakłamałam, załgałam, zafalszowałam i zeszmaciłam swoje wewnętrzne „ja” tylko po to, żeby uchodzić za dziewczynę cool, fajną kumpelę i superlaskę, później dałam się zauroczyć facetowi, który nie był tego wart, wreszcie zdusiłam sumienie, by uwolnić drzemiącego w mej duszy demona. Dziś próbuję zrozumieć, dlaczego wzięłam tak definitywny rozbrat z rozumem. Dlaczego mimo tylu refleksyjnych myśli zrodzonych w mych szarych komórkach, żadna nie wstrząsnęła zdrowym rozsądkiem, zobowiązanym do przewidywania nadciągających katastrof. Teraz pozostał mi niegasnący żal za życiem, które mogło wyglądać inaczej. Zmarnotrawione szanse są jak nienarodzone dzieci. Można tylko snuć domysły, jakie one byłyby, gdyby przyszły na świat.

Patrzę wstecz, próbuję ustalić, w jakim punkcie egzystencji po raz pierwszy w mojej głowie powinien zawyc alarm ostrzegawczy. Może pod koniec gimnazjum? Wcześniej chciałam zostać aktorką. Od lat udzielałam się w Teatrze Poezji *Phoenix* oraz oglądałam każdą premierę filmową. Rodzice wspierali moje zainteresowania, lecz jako właściciele sporej restauracji chcieli, abym w przyszłości przejęła po nich interes.

– Pójdiesz do szkoły gospodarczej w Rzeszowie i zrobisz dyplom technika gastronomii – stwierdzili, kiedy już przyszedł czas wyboru szkoły ponadgimnazjalnej.

Moje oburzenie nie miało granic.

– Nigdy w życiu! – zaprotestowałam gwałtownie. – Nie zrezygnuję ze swoich planów!

– My też mamy swoje plany, nigdy ich nie ukrywaliśmy – mama również podniosła głos.

Fakt, wspominali przy każdej okazji, że powinnam zdobyć stosowne papiery, zanim dostanę w spadku restaurację, ale kto by takie gadanie traktował serio. Zawsze czułam niechęć do garów. Poza tym, z mojej klasy tylko Mirka i Sławka szły do tej szkoły. Pierwsza to typ szarej myszki, druga – modelowa Panna Nikt. Z żadną z nich nie trzymałam dotąd sztamy i nadal nie zamierzalam. Moja serdeczna przyjaciółka Daria dostała się do renomowanego Trzeciego Liceum, natomiast Arleta, Sulika, Paweł i Damian, z którymi tworzyliśmy zgraną paczkę – do Ekonomika przy Hoffmanowej.

– Chcecie mi życie złamać? – użyłam najmocniejszego argumentu, jaki przyszedł mi do głowy, ale nie doceniłam mamy.

– Posłuchaj, żeby zostać aktorką czy tancerką i tak musisz wcześniej zrobić maturę. Czy to ważne w jakiej specjalności? Ta szkoła, oprócz matury zapewni ci zawód. Krótko mówiąc, wszyscy będą zadowoleni.

Po tygodniu dąsów ustąpiłam, chociaż powinnam postawić na swoim i iść do szkoły baletowej albo do jakiegoś liceum z dodatkowymi zajęciami z zakresu teatru, tańca bądź choreografii. Dzisiaj żałuję, jednakże jest to mocno spóźniony żal.



Na inaugurację roku szkolnego w Zespole Szkół Gospodarczych w Rzeszowie szłam jak skazaniec na szafot. Już z góry byłam do wszystkiego uprzedzona.

Z konieczności trzymałam z Mirką i Sławką, lecz gdy doszło do zajmowania miejsc – potraktowały mnie per noga. Usiadły razem. Otaksowałam wzrokiem klasę w poszukiwaniu kogoś, do kogo można by się dosiąść. Beznadzieja! Istne zbiorowisko klonów szarych myszek i Panien Nikt. Stałam sama pod ścianą, zdolowana dodatkowo gorzką świadomością, że w murach tej szkoły programowo zaprzepaszcza się artystyczne talenty, niszczy indywidualności i młotkami ze stali narzędziowej wybija z głów marzenia o karierze. A przecież stać mnie było na więcej niż nauka w tej pogardzanej zawodówce.

Wtem w progu stanęła dziewczyna niepasująca tutaj tak samo jak ja. Przypominała barwnego ptaka, który wpadł pomiędzy szare wróble. Poza tym było w niej coś eterycznego, coś sugerującego wrażliwość i artystyczną duszę. Miała długie, ogniście rude włosy, związane na czubku głowy zieloną wstążką, bluzkę w kolorowe paski, odsłaniającą lewe ramię, dzinsową miniówkę i beżowe buty gladiatorki, a przez ramię przewieszoną torbę z bajeranckim portretem kobiety w kapeluszu. Rozejrzała się po klasie i najwidoczniej uznała mnie za bratnią duszę, bo podeszła.

- Cześć. Jestem Sandra Winnicka, a ty?
- Paula Aster.
- Masz już kogoś do pary?
- Nie mam. Możemy siedzieć razem.
- Super.

Wszystkie ławki zostały już pozajmowane, poza ostatnią w rzędzie pod ścianą. Ruszyliśmy w tamtą stronę. Ledwie usiadliśmy, zadźwięczał dzwonek, gwar nieco przycichł i weszła nauczycielka. Wszyscy wstali.



– Witam was w nowej szkole, Nazywam się Wiesława Radzyńska,

Jak się później okazało, uczniowie nadali jej ksywę Radzia.

– Dzień-doo-bryy – odpowiedzieliśmy spontanicznie.

– Usiądźcie. Będę was uczyć języka polskiego i jednocześnie pełnić obowiązki wychowawczyni – zagaiła niezbyt oryginalnie, a później nastąpiło przewidywalne do bólu zwykle bla, bla, bla...

Pasowała jak ulał na wychowawczynię tej obciachowej klasy w tej obciachowej szkole. Wszystko w niej było uśrednione: średni wzrost, średnia tusza, średniej długości włosy, bluzka i spódnica, a nawet buty na średnim obcasie. Zapewne w liceum o profilu artystycznym profesorką byłaby jakaś piękna, elegancka i dystyngowana dawniejsza aktorka o manierach angielskiej arystokratki – pomyślałam z żalem i aż mi się w oczach łzy zakręciły na myśl, że zamiast historii teatru elżbietańskiego bądź analiz sztuk Bogusławskiego<sup>1</sup> będę wkuwać jakieś przepisy na bigos czy algorytmy na wycenę kaczki w pomarańczach. Sandra też nie wyglądała na zbyt zainteresowaną, czym dodatkowo przysporzyła sobie mojej sympatii. Na przerwie przekonałam się, że to prawdziwie bratnia dusza, lepszej przyjaciółki nie mogłam sobie wymarzyć. A ponadto ona również trafiła do tej szkoły wbrew sobie, co zakrawało na prawdziwe zrzędzenie losu.

– Chodziłam do ekonomika. Wylali mnie – wyjaśniła spontanicznie.

– Dlaczego?

\*wszystkie przypisy str.248

– Wtopa. Kluczowym problemem był fakt, że to szkoła nie dla mnie. Ta zresztą jeszcze bardziej nie, lecz podobno ma poziom dużo niższy. Nie potrzebuję szkoły, żeby coś w życiu osiągnąć, ale według starych, muszę mieć jakiś papierek. A ty?

– Identycznie.

– Prawdę mówiąc, nauka mnie mierzi. Mam inne priorytety, więc muszę jakoś przetrzymać ten czas do pełnoletności. Potem zgredy mogą mi napiórkać. Obczajasz? – skinęłam potakująco głową. – Już trzeci raz jestem spadochroniarzem, a ty zaliczyłaś jakąś odsiadkę?

– Tak, w drugiej klasie podstawówki.

– Ściemniasz! Co to za psorek udupia takie szczeniaki?

– Nie chodzi o żadnego psorka, dostałam parszywego zapalenia płuc, które uziemiło mnie na całe dwa sezony.

Nie zaimponowałam jej, ale wykazała wyrozumiałość.

– Mniejsza o powód. Ważne, że obie wyrastamy wiekiem ponad tę smarkaterię.

Imponował mi jej barwny język i nonszalancki sposób mówienia, co z jej subtelną urodą i wiotką sylwetką tworzyło intrygującą kompozycję. Dużo lepiej pasowała do rzeszowskiej ulicy, stawiającej na luz i kreatywność, dającej poczucie swobody i niezależności. W stylizacjach, można powiedzieć, wszystkie chwytaki są dozwolone: przyciasne podkoszulki, rozpięte bądź niedopięte spodnie, obciskające sukienki, kuszące tatuaże, widoczne na odsłoniętych lędźwiach, wyzywające makijaże i fantazyjne fryzury. Ja bardziej

przystawałam do tych odzianych lepiej gatunkowo, ale zgodnie z regulaminowym wizerunkiem ucznia. Bardzo chciałam to zmienić, chociaż wiedziałam, że nie będzie łatwo.

Dalszą rozmowę przerwał nam kolejny dzwonek, tym razem na lekcję angielskiego. Anglista, w przeciwieństwie do Radzi, był facetem w każdym calu ponadprzeciętnym: wysoki, wysportowana sylwetka, nie-naganne ciuchy, krótko ścięte, gęste włosy, regularne rysy, no i...

– Kuźwa, oczy zabójcze jak indyjski hasz – skomentowała szeptem Sandra, co akurat było zbieżne z moją opinią, chociaż wtedy nie wiedziałam czym jest ten „hasz”, łatwo dośpiewałam sobie, że ma barwę zieloną.

– Good Morning, My name is Wojciech Brożek, I'm teaching it English, British English... – zaczął od razu z wysokiego „c”.

Po raz pierwszy doceniłam zalety ostatniej ławki. Ponieważ dla Sandry język angielski był (i nadal jest) naprawdę obcy, więc chichotałyśmy, żartowałyśmy na temat nauczyciela i w ogóle nie słuchałyśmy, co mówi. Na długiej przerwie wymieniliśmy więcej informacji o sobie. Rodzice Sandry żyli jak pies z kotem, lecz dla dobra dzieci, to znaczy jej i młodszego syna, nie brali rozwodu. Oboje pracowali w jakichś korporacjach od świtu do nocy, a w weekendy, kiedy odespali tygodniową harówkę, zaczynali kłótnie.

– Mówię ci, bryndza, ale dużo luzu, bylebym tylko do szkoły chodziła. A u ciebie?

– Rodziców też prawie nigdy nie ma, chociaż żyją zgodnie i wspólnie prowadzą restaurację. W domu za-

miast brata mam babkę i zero swobody, bo babka mentalnie wciąż tkwi w ubiegłym wieku.

– Współczuję. Ja jedną babkę mam w Sopocie, drugą w Brukseli i żadnego dziadka. Ta belgijska babka przysłała mi fajne ciuchy, u drugiej spędzam wakacje, jednak na dłuższą metę obie są totalną zmułą. Na szczęście mam zajebiste kumpelki. Poznam cię z nimi, chcesz?

– Jasne.

Poznałam je jeszcze tego samego dnia. Po ostatniej lekcji, paląc papierosy, czekały na Sandrę pod szkołą. Podobnie jak ona, były przebojowe, pewne siebie i bliskie high life`u. Z przejęciem wspominały akurat jakąś niedawną prywatkę. Zanim nas zauważyły, z różnych półsłówek, aluzji i niedokończonych zdań wywnioskowałam, że o takiej imprezie mogłam tylko pomarzyć.

– Nareszcie, edukacyjna wyrobniczo. Nie mogłaś się wcześniej urwać? – dostrzegły nas wreszcie.

– Zwariowałyście? Miałam podpaść pierwszego dnia? Poznajcie Paulę, moją nową kumpelę z ławki, jest spoko.

– Dzesika.

– Emiliana.

Pierwsza była platynową blondynką typu Barbie-Plastik w stroju tancerki go-go – krótki t-shirt, szorty biodrówki i ażurowe kozaczki; druga – opaloną na skwarek brunetką w obcisłej, krwistoczerwonej sukience z szelkami związanymi na karku i w równie czerwonych klapkach.

W tamtej chwili pragnęłam przede wszystkim ich akceptacji i Opatrzność mnie wysłuchała.

– To fajnie, chodźcie, chłopaki już na nas czekają w *Bulandzie* – powiedziała Dżesika tak naturalnie, jakbym od dawna należała do ich paczki.

– Nie mogę, muszę wracać do domu – mówiąc to, czułam się jak ostatnia idiotka.

– Nie ściemniaj. Już pierwszego dnia dałaś starszkom telefonicznie cynk, ile masz lekcji?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, przy krawężniku zahamował Ford Focus mojego taty i jak spod ziemi wyrosły Mirka i Sławka.

– Może innym razem. Na razie mam transport, z którego nie mogę zrezygnować.



Łańcut od Rzeszowa dzieli zaledwie siedemnaście kilometrów, lecz dzięki moim nowym przyjaciółkom zrozumiałam, że mentalnie jest to bezdenne przepaść. Ja na przykład dorastałam w tradycyjnej rodzinie, w atmosferze nakazów, zakazów i bogoboju. Żyliśmy w dostatku, gdyż rodzice ciężko pracowali, trud prowadzenia domu i opieki nade mną wzięła na siebie babcia, a jak wiadomo, w przeświadczeniu babć, w czasach ich młodości świat był lepszy, życie bezpieczniejsze i w ogóle wiele spraw „nie mieściło się w głowie”. Krótko mówiąc, staroświeckie poglądy wykluczały rozumienie współczesnej młodzieży. Mimo wszystko, kochałam swoją babcinę, nauczyłam się nawet ignorować jej toksyczną formułkę: „Za moich czasów”, od której zawsze rozpoczynała prawienie morałów, jednakże w miarę dojrzewania, z coraz większym trudem kład-

łam uszy po sobie. Najtrudniej było wywalczyć kompromis w sprawie ubioru. Babcia uwielbiała koronki, falbanki i kokardki, toteż na starych fotografiach wyglądam jak laleczka z saskiej porcelany. Potem nieco znormalniałam, lecz nadal prezentowałam typ grzecznej dziewczynki – czyli skromność, dobre maniery oraz przyzwoitość w ubiorze i zachowaniu. W tej sytuacji, przy pierwszej nadarzającej się okazji uległam czemuś, co nazwałabym syndromem psa spuszczonego z łańcucha. Tak jak łańcuchowy pies marzy, aby się wybiegać, sprawdzić co jest za najbliższym żywopłotem, górką czy laskiem, tak i ja chciałam jak najprędzej zobaczyć się w dżinsach-wycieruchach, t-shirtach z bajeranckimi napisami, markowych dresach, zrobić sobie tipsy... Przynajmniej raz na jakiś czas zaszpanować na jakiegoś kinder punka, emoludka, luzaka albo klona, byle tylko odsapnąć od tych codziennych ugrzeczniczonych uniformów pod gust bardzo konserwatywnej starszej pani, jaką jest moja babcia. No i rzecz jasna, pragnęłam z paczką Sandry bywać w kawiarniach, pubach, klubach i na dyskotekach. Tymczasem, gdybym wywaliła na wierzch pępek czy założyła do nosa kolczyk, mama nie wypuściłaby mnie za próg, a babcia na widok tej strasznej rozpusty, skandalu, zgorzenia i bagna w jednym dostałaby apopleksji. A jeśli bym tak, nie daj Bóg, na czas nie wróciła do domu, tata postawiłby na nogi policję w całym województwie.

Początkowo ten modowy koszmar zwalczałam nieśmiałoymi półśrodkami, na przykład rozpinając w bluzce dodatkowo drugi guzik, aby dekolcił odsłaniał dołek między piersiami, podwijałam pasek żeby o dwa centymetry skrócić spódnice, rozpuszczałam włosy

i doprowadzoną mamie szminką malowałam usta. No i cały czas szukałam pomysłu, jak bezpiecznie zapewnić sobie po lekcjach odrobinę luzu. Tata nie zawsze czekał na mnie pod szkołą, ale Mirka i Sławka mieszkali po sąsiedzku, więc potrzebowałam solidnego pretekstu, by wytłumaczyć, dlaczego po lekcjach nie wracam razem z nimi. Na szczęście, potrzeba jest matką wynalazku. Sprawdziłam, jakie zajęcia pozalekcyjne oferuje szkoła i... bingo! Dwa dni później zapisałam się do kółka teatralnego. Miałam nadzieję, że zaprocentują moje aktorskie szlify, nabyte w łańcuckim *Phoeniksie*.

Sandra w pierwszej chwili wyśmiała ten pomysł.

– Zwariowałaś? Zamiast kombinować, jakby tu bryknąć z budy, ty dowalasz sobie obowiązków?

Coś powstrzymało mnie przed wyjawieniem jej prawdy o marzeniach o zawodzie aktorki.

– Dla świętego spokoju chcę mieć alibi, gdy starzy zaczną drążyć, dlaczego zaraz po ostatniej lekcji nie wracam do domu – powiedziałam wykrętnie.

I wtedy Sandra powiedziała coś, co nie tylko trafiło mi do serca, lecz również uświadomiło prawdę oczywistą aż do bólu.

– Cholera, starzy to wredni zawistnicy, najbardziej na świecie ich wkurza, gdy młodzi naprawdę dobrze się bawią.

Zawsze sądziłam, że dorośli potępiają to, czego nie rozumieją, tymczasem tymi połajankami, niby dla naszego dobra, maskują swoją nienawiść. No tak, zazdroszczą nam młodości, zdrowia, urody i długich lat do przeżycia.

– Czyli krótko mówiąc, odwieczny konflikt pokoleń – skonstatowałam refleksyjnie, żeby zakończyć

temat, lecz Sandra miała w zanadrzu dużo więcej przemyśleń.

– Zgredy twierdzą, że jakoby wiedzą lepiej, ale patrząc na ich życie, trudno dopatrzeć się w nim tak zwanej życiowej mądrości. Moi spieprzyli wszystko, co było do spieprzenia, a teraz chcą spieprzyć moją przyszłość. Nie ze mną te numery.

– Ze mną też nie – zapewniłam. Byłam przecież osobnym, niezależnym bytem, posiadającym wolną wolę i rządzącym się swoim rozumem. I tak z dnia na dzień moje poczucie własnej wartości sięgnęło szczytów Himalajów.

– Nie mogłabyś znaleźć jakiegoś lepszego pretekstu?

– Poza nieszporama nic mi nie przychodzi do głowy, ale w Łańcucie też są kościoły.

Ta propozycja rozśmieszyła Sandrę.

– Aleś wymyśliła – parsknęła, po czym spoważniała i rzuciła: – A właściwie czemu nie? Przecież za nadprogramowe zajęcia dostaje się dodatkowe punkty na świadectwie. Idę z tobą.

Kółko teatralne prowadziła pani Nina Ataman, czterdziestoletnia brunetka o łagodnym usposobieniu, rozkochana, jak czas pokazał, w poezji i ekskluzywnej biżuterii, koniecznie zabytkowej. Trwały akurat próby *Ślubów panińskich* Fredry, wszystkie pierwszoplanowe role zostały już obsadzone przez starsze roczniki. Klarę odgrywała Anka Kmiecik z czwartej hotelarskiej, Anielę – Bożena Sójńska z trzeciej turystycznej, Dobrójską – Edyta Olszak z drugiej zawodowej kucharskiej, Gustawa, Albina i Radosta – kolejno: Tomek Wójcik, Adrian



Szela i Patryk Skalski, wszyscy z trzeciej kelnerskiej. Spodobało mi się. Znow poczułam tę przecudowną atmosferę aktorskich prób, kiedy to zwykła Paula, Marysia, Zosia bądź Zuzia krok po kroku przekształca się w słodką Julię, podstępna Balladynę, obłudną Dulską albo demoniczną lady Makbet. Cudo! Zarówno rodzice jak i babcia akceptowali moje aktorskie ciągoty, natomiast Mirki i Sławki teatr w ogóle nie interesował, mogłam spokojnie skłamać, że zajęcia kółka teatralnego odbywają się dwa razy w tygodniu, we wtorki i piątki. Czyli na dobry początek załatwiłam sobie murowane alibi na późniejszy powrót ze szkoły.

Na razie wraz z Sandrą w kilkusobowej grupie „nowych”, obsadzonych w epizodycznych rolkach tancerek, obserwowaliśmy zza kulis dialog między Radostem i Gustawem. Zauważyłam, że Patryk Skalski wciąż zerka w naszą stronę. Nie dorównywał przystojnością ani Tomkowi Wójcikowi, ani Adrianowi Szeli, ale w dziesięciopunktowej skali klasyfikacji atrakcyjności między Quasimodo<sup>2</sup> a Apollem zasługiwał na siódemkę. Przypuszczałam, że spoglądał na mnie, lecz w obecności efektownej Sandry, przy której większość dziewcząt pełniła co najwyżej funkcję dziur w powietrzu, mogło to być tylko moim chęciem. A jednak nie. W czasie przerwy podszedł do nas, żeby porozmawiać.

– Nie pękajcie dziewczyny, ja też początkowo tylko trzymałem halabardę – zażartował.

– Za krótko, bo ta rola stanowi szczyt twoich możliwości – po tej złośliwej uwadze Sandry, atrakcyjność Patryka spadła, w mojej ocenie, przynajmniej o trzy punkty.

– No proszę, papużka stroi się w orle pióra – od-  
palili i skupili całą uwagę na mnie. – Widziałem cię na  
ostatnim *Młynie Sztuki*<sup>3</sup>. Byłaś fajną Anią Shirley. Myś-  
lałem, że naprawdę jesteś ruda.

Jego słowa podniosły moją samoocenę, chętnie po-  
rozmawiałabym z nim jeszcze, ale upłynął czas prze-  
rwy i musiał wrócić na scenę.

– Lorbas, po prostu lorbas – rzuciła za nim San-  
dra.

Nie znałam tego słowa, lecz z jej miny i tonu głosu  
wynioskowałam, że znaczy to tyle co muł, przygłup  
albo coś w tym rodzaju.

– Aha – przytaknęłam, sama nie wiem dlaczego,  
a ona dodała:

– Każda dziewczyna ma swój antymodel, czyli typ  
faceta, którego za chińskiego boga nie jest w stanie za-  
akceptować...

Zabrzęczała komórka Sandry. Odczytała SMS i po-  
ciągnęła mnie za rękaw.

– Spadamy stąd. Mamy zaproszenie na fajową  
dżampreżę.

– Musimy najpierw zwolnić się u Atamanki.

– Jeśli koniecznie musisz... Ale podkręć tempo.



Był ciepły wrześnieowy dzień, typowa złota polska  
jesień, kiedy wszystko wokół przesycza łagodnie światło  
coraz niżej i krócej wędrującego słońca, a powietrze  
pachnie delikatną nutą dymu, siana i dojrzałych jabłek.  
Dżesika i Emiliana czekały pod szkołą.

– No, nareszcie – zawołały na nasz widok, gasząc papierosy. – Idziemy na hawirę<sup>4</sup> do Mariusza.

– Chłopaki ostatnio są w dołku, fajnie byłoby nie iść z pustymi rękami. Kto ma jakąś kabonę<sup>5</sup>? – spytała Emiliana.

– Ja mam zaledwie drobne klepce<sup>6</sup> – stwierdziła Sandra i zwróciła się bezpośrednio do mnie. – A ty?

– Dziesięć złotych – skłamałam, gdyż miałam dwa-dzieścia.

– Super, starczy na dwa jabole i jeszcze styknie na paczkę słonych paluszków.

Do sklepu wydelegowałyśmy Emilianę, której skwarkowa opalenizna dodawała lat. Jeszcze dzisiaj pamiętam tamten dreszczyk emocji, że wreszcie wezmę bezpośredni udział w prawdziwej imprezie w wielkomiejskim stylu.

Mariusz mieszkał w jednym z tych starych domów na Baldachówce, gdzie do poszczególnych mieszkań wchodzi się przez podwórko i zewnętrzną klatkę schodową. Prawdę mówiąc, dom był ruderą, a mieszkanie też nie wprawiało w zachwyt – jeden duży pokój pełnił funkcję salonu, z którego parawanem wydzielono kuchnię, natomiast dwiema szafami sypialnię. Gospodarz, podobnie jak jego dwaj koledzy – Robert i Gaba, wyglądali na starszych od nas przynajmniej o pięć lat i prezentowali się super: wysportowani, dobrze umięśnieni, ładnie opaleni, takie typowe ciacha. Siedzieli w oparach papierosowego dymu, popijali piwo z puszek i oglądali w telewizji jakiś mecz. Nasze przybycie powitali więcej niż entuzjastycznie, zaś na widok wina zasypali nas komplementami w stylu: Równie z was dziewczyny.

– Poznajcie Paulę, to prezent od niej – przyznała Dżesika, a Mariusz objął mnie w pasie, posadził sobie na kolanach i zawołał:

– O, jaka apetyczna cipeczka!

Zawsze chciałam podobać się chłopakom, jednakże tak bezpardonowy podryw spowodował, że zeszywniałam i spiekłam raka. W tym czasie moje bardziej oblatane towarzysko przyjaciółki zaprezentowały zdumiewającą swobodę obyczajową. Sandra usiadła przy Robercie, Dżesika przy Gabie, a Emilianą przylgnęła do pleców Mariusza, jakby chciała dać do zrozumienia, że to ona ma do niego prawo. Nie zamierzałam tego kwestionować, więc gdy tylko Mariusz poszedł do „kuchni” po trybuszon, przesiadłam się na taboret po przeciwnej stronie stołu, a kiedy wrócił, jakby nigdy nic poddał się „opiece” Emiliany, o ile tak można nazwać mizianie po szyi i takie różne... W tym czasie Robert wyjął z barku szklanki, rozlał wino i wznosił toast:

– Za piękne samochody i szybkie kobiety!

Nie jestem koneserem trunków, lecz ten o poetyckiej nazwie *Złoty Puchar* miał tak paskudny smak i zapach, że po zamoczeniu w nim ust, z trudem zwalczyłam odruch wymiotny.

W zasadzie wino należy pić małymi łyčzkami, ale oni wypili jednym haustem, potem całą swą uwagę skupili na mnie, czekając, aż opróżnię szklankę, by nalać drugą kolejkę. Pochodząc z rodziny restauratorów, znałam biesiadny zwyczaj przymuszania do picia odzwyczajkami w stylu: osoba godna pije do dna. Tu jednak przybrały one bardziej frywolny wydźwięk.

– Nie guzdraj się, pij, pij, będziesz łatwiejsza – zachęcał Mariusz, a Gaba doradzał:

– Dziewczyno, rzuć na luz. Jesteś spięta jak agrałka.

Było fajnie, jednak z jakiegoś powodu doświadczyłam przeciwstawnych emocji. Z jednej strony pragnęłam akceptacji towarzystwa, z drugiej – panicznie bałam się upić, a presja na konsumpcję alkoholu była zbyt wielka. Wzięłam głęboki wdech i kilkoma łykami wlałam w siebie zawartość szklanki. Jakimś cudem się nie porzygałam i nie posmarkałam, zdołałam nawet stłumić beknięcie, chociaż żołądek podchodził mi pod brodę. Mój wyczyn został nagrodzony życzliwymi oklaskami.

– Równa z ciebie dziewczyna, nie jakaś tam ę, ą, dealdeską – pochwaliła mnie Emiliana, naśladując udatnie francuski akcent. – Dajcie jej wody na popitkę.

To było to! Przeplukanie gardła pomogło. Nie tylko znikł ohydny posmak w ustach, ale również wpadł do głowy świetny pomysł. Zaczęłam przetrzymywać wino w ustach, po czym markując popijanie, wypluwać je do szklanki. Na szczęście nikt nie zauważył, że wody w szklance wciąż przybywa. I to zabarwionej.

Tymczasem, wprost proporcjonalnie do wypitego wina, atmosfera stawała się coraz swobodniejsza. Dziewczyny bez śladu skrępowania czuliły się do chłopaków, z kolei chłopcy wpychali ręce pod ich bluzki i spódnice... I oni, i one nie żałowali sobie perwersyjnych żartów... Powietrze robiło wrażenie, jakby z minuty na minutę coraz bardziej gęstniało od testosteronów i estrogenów<sup>7</sup>, wreszcie Robert pogłośnił telewizor i pociągnął Sandrę za szafę.

W domu rodzice teoretycznie byli otwarci na uświadamiające tematy, lecz w praktyce, edukację

seksualną skończyli na informacji, że dziewczynki mają pipuśki a chłopcy siusiaczki albo fiutki. Babcia w ogóle zachowywała się tak, jakby wiedza o sferach intymnych należała do wiedzy instynktownej, którą po prostu się ma jak odruch ssania u noworodka, a zrozumienie dlaczego, przychodzi z wiekiem. Przed popełnieniem błędów wynikłych z burzy hormonów ma bronić naturalny wstyd oraz przestrogi dorosłych. Mimo to z odgłosów, jakie chwilę później zaczęły dochodzić zza szafy, bez trudu odgadłam, co oni tam robią.

– Dziewczyny, zagrajmy z rozbieranego pokera – zaproponował Mariusz, który przez cały czas rzucał mi zalotne spojrzenia znad ramienia Emiliany. Pewnie uważał, że czuję się zaniedbana, ale ja chciałam już tylko stamtąd wyjść.

– Fajny pomysł – zawołał Gaba i nie wiadomo skąd wyciągnął talię kart.

Odkąd pamiętam, zakazany owoc zawsze rozbu-  
dzał moją ciekawość i rozpałał marzenia. Według moich wyobrażeń, należało smakować go jak wytrawny deser, delektować się nim jak lodami z bakaliami i bitą śmietaną... Za żadne skarby nie chciałabym, aby mój „pierwszy raz” miał miejsce z przypadkowym facetem za prowizorycznym przepierzeniem w obskurnym i zadymionym mieszkaniu. Spojrzałam na zegarek.

– Muszę już wracać do domu – powiedziałam.

– Bo co? Mamusia czeka z kolacją? – spytał Gaba z niepokojącą iskrą ironii w oczach.

Poczułam się jak jakaś głupia gęś, lecz mimo to górę wzięło moje urażone ego.

– A żebyś wiedział! – warknęłam, po czym wstałam i ruszyłam ku drzwiom.



Nazajutrz oczekiwałam ze strony Sandry krytyki, a nawet drwin z mojego zachowania u Mariusza, jednakże ona tylko spytała z troską w głosie, czy wyszłam, bo miałam „ciotkę”<sup>8</sup>.

– Oczywiście – przytaknęłam skwapliwie. – Jak odgadłaś?

– Proste, czaję bazę. Dziewictwo w naszym wieku to totalny obciach, więc jaka opcja pozostaje?

Zatkało mnie, co Sandra odczytała jako zachętę do rozwinięcia tematu.

– Przecież każda normalna dziewczyna nie chce być przedmiotem drwiny koleżanek, lepiej się pozbyć tego problemu, a przy tym jeszcze zarobić. Ja na przykład już w podstawówce pozwalałam starym dziadom za kasę się dotykać, potem lizać po cipce, wreszcie poszłam na całość i nie żałuję. To jest dopiero jazda! A ty?

„O Matko Boska, ratuj” – jęknęłam w duszy i o dziwo, poskutkowało.

– Wolałam swój pierwszy raz mieć z doświadczonym facetem. Dałam się poderwać sąsiadowi. Przyznaję, seks jest super – skłamałam gładko, lecz czułam, jak moje policzki płoną żywym ogniem. Na szczęście, dla Sandry takie sygnały były nieczytelne.

– A tak nawiasem mówiąc, Mariusz miał na ciebie chrapkę – zmieniła temat.

– Ślepy by dostrzegł, ale jak przyuważyłam, kręci z Emilianą. Nie chciałabym... Rozumiesz.

– Wchodzić między wódkę a zakąskę? – Skinęłam głową. – Bez obaw. Oni uprawiają seks rekreacyjny.

Dzwonek na lekcje przerwał naszą rozmowę. Tego dnia pierwszy był angielski. Pan Wojciech Brożek postanowił przepytac klasę w celu rozeznania, jaki poziom reprezentujemy. Zadawał proste pytania typu: Jak się nazywasz? Czy masz rodzeństwo? Gdzie pracują twoi rodzice?... Bułka z masłem. Kiedy doszło do Sandy, ta jakby nigdy nic powiedziała:

– Ich spreche kein Englisch.

Nauczyciela na chwilę zamurowało, po czym przeszedł na język polski.

– Przecież to jest klasa z zaawansowanym angielskim. W podaniu napisałaś, że znasz ten język w stopniu biegłym.

– Możliwe. Odkąd sięgam pamięcią, zawsze miałam sklerozę, dlatego liczę na pańskie korepetycje. Jestem wyjątkowo uzdolniona lingwistycznie, więc śpiwając opanuję materiał.

Jej głos zawierał w sobie tyle prowokacji i erotyki, że wszyscy w klasie skierowali oczy w naszą stronę.

– Na długiej przerwie zgłoś się do mnie do pokoju nauczycielskiego.

– Odbiło ci czy jak? – spytałam szeptem, gdy anglista skończył odpytywanie i był zajęty pisaniem na tablicy.

– Podoba mi się, tobie nie?

Pytanie zrozumiałam jako czysto retoryczne. Wtenczas tak otwarte podrywanie nauczyciela było dla mnie czymś niewyobrażalnym.



- Wysoko mierzysz.
- Jak spaść z konia, to z dobrego.

Ciekawa byłam, jak anglista poradzi sobie z Sandrą, toteż na długiej przerwie odprowadziłam ją aż pod pokój nauczycielski. Gdy tylko Sandra znikła za drzwiami, usłyszałam zza pleców głos:

- Cześć, Paula

Odwrociłam głowę, za mną, cały w uśmiechach, stał Patryk Skalski.

- O, cześć.
- Coś załatwiasz? – wskazał brodą na drzwi.
- Nie. Czekam na koleżankę.

Zapadła kłopotliwa cisza. Dopiero teraz spostrzegłam, że chociaż jest brunetem, ma niebieskie oczy i moja ocena znów skoczyła o kilka punktów wzwyż.

- Gdzie mieszkasz?
- W Łańcucie. A ty?
- W Osieku Jasielskim, a w czasie roku szkolnego u krewnych w Rzeszowie.

Zdążyliśmy wymienić jeszcze kilka mało istotnych informacji, kiedy z pokoju wyszła Sandra.

- Ale chryja! – zawołała i ignorując Patryka, pociągnęła mnie za rękę. Na odchodne pomachałam chłopakowi ręką i ten gest rozdrażnił moją przyjaciółkę. – Co ten dupek od ciebie chciał?

- Nic szczególnego, mów, co z anglistą.

- Spoko. Sprawę weźmie pod lupę Radzia, a może nawet sam dyro. W każdym razie facet musi być mój. Zauważyłaś? On nie nosi obrączki!

Nie zauważyłam, ponieważ takie szczegóły mnie nie obchodzą. Myślałam o Patryku. Z jednej strony intrygujący był błękit jego oczu przy czarnych włosach oraz

zainteresowanie teatrem, z drugiej, chęć bliższego poznania go studziła wrogość Sandry oraz domniemanie, że skoro Patryk jest inny od Mariusza, Roberta i Gaby, więc z pewnością nie zyska sympatii Dżesiki i Emiliany. W tej sytuacji rozsądek podpowiadał, by w celu uniknięcia wtopy trzymać Patryka na dystans.

Szybko okazało się, że Patryk nie jest facetem łatwo rezygnującym z dziewczyny, która wpadła mu w oko. Podszedł do mnie podczas następnej próby *Ślubów panińskich*, kiedy Sandra wyszła do szatni na papierosa, a pani Ataman, nie szczędząc uwag, próbowała wymusić na Tomku Wójciku odegranie perfekcyjnie sceny, gdy jako Gustaw zasypia w trakcie rozmowy z narzeczoną.

– Masz jakieś plany na niedzielę? – spytał szeptem po kurtuazyjnej wymianie zdań.

Z powodu zaskoczenia, kręcąc głową, powiedziałam:

– Nie mam. – Potem dorzuciłam: – Chyba nie mam.

– W *Heliosie* grają fajny film. Dasz się zaprosić?

Propozycja była fajna, lecz natychmiast w mojej głowie wykiełkowała obawa przed blamażem w oczach moich nowych koleżanek, gdybym je przypadkiem spotkała. Poza tym miałam nadzieję poznać superchłopaka z wielką klasą, stąd lepiej, żebym była wolna. Niestety, zdecydowana postawa wymagała zdecydowanego charakteru, a z tym bywa u mnie krucho. Mogłabym powtórzyć za Fredrą: „I chciałabym, i boję się”<sup>99</sup>.

– Jutro mam w domu imprezę rodzinną. Wiesz, jak to jest. Nie dam rady wyskoczyć do Rzeszowa.

– Może ja wpadnę do Łańcuta, pokażesz mi zamkowy park. Będę o szesnastej czekał przy bramie. Proszę, zgódź się.

– No dobrze – przytaknęłam, lecz pół godziny później już żalowałam tej zgody.



Człowiek został stworzony bez instrukcji, jak korzystać z życia, by nie napytać sobie biedy, mimo to zamiast korzystać z rad ludzi doświadczonych życiowo, woli sam decydować o swoim losie i na własnej skórze doświadczać skutków swych wyborów. Jakby tego było mało, smarkateria uzależniona jest od opinii innych małolatów. Gdy dzisiaj wspominam tamte czasy i tamte rozterki, widzę jak na dłoni swoją infantylną ufność dla podszeptów nie tych, co trzeba. Bo jeśli chodzi o babcię, z jej strony najwięcej przestróg dotyczyło chłopaków. Wciąż powtarzała, aby na nich uważać, bo im tylko jedno w głowie.

– Powiedz co, babciu, bo nie wiem – żartowałam, a ona rzucała gniewnie:

– Jak to, co? Naprawdę nie wiesz?

– Nie wiem i w dodatku, nic nie przychodzi mi do głowy.

– A chociażby to, że zrobi ci dziecko, ucieknie i zostawi samą z problemami – ostrzegła, potem dodawała niezmiennie – Kochana, najpierw trzeba skończyć szkołę, dopiero później zaczynać romanowanie. I nie można oceniać kandydata na męża przez różowe okulary.

Jej ówczesne porady uznawałam za życziwe i całkowicie bezużyteczne, lecz dziś wiem, że miała rację. Tamtej soboty modliłam się, by nazajutrz lało, grzmiało i prało żabami, żeby dać mi pretekst do uniknięcia spotkania z Patrykiem. Gdybym tamtego dnia, zamiast wyszukiwać coraz głębsze argumenty, by podsycać swoją niechęć do chłopaka tylko dlatego, że nie podoba się on Sandrze, wejrzała głębiej w swoje serce, może zrozumiałabym, że to sama Opatrzność daje mi szansę, by nie schrzanić sobie totalnie życia. Ku mojej rozpaczycy, w niedzielę od samego rana świeciło słońce, a czyste bezchmurne niebo nie wróżyło zmiany pogody. Lepiej, był to typowy początek pięknej, złotej polskiej jesieni, jak gdyby przyroda przed zatonięciem w bezlistnej przedzimowej szarudze, chciała raz jeszcze rozblysnąć paletą barw. Wszystko wokół, od przydomowych ogródków, pełnych kwitnących właśnie dali, astrów i chryzantem, poprzez tarasy i balkony, ukwiecone pelargoniami, begoniami i petuniami, aż po krzewy i drzewa z liśćmi połyskującymi kolorami tęczy, nastrojało melancholijnie, i stanowiło malownicze tło dla romantycznej randki. Nawet sam Patryk stanął na wysokości zadania, czekając przy bramie z bukietem, a dokładnie – z gałązką storczyka, obsypaną biało-różowymi kwiatami.

„No proszę, nawet bajroniczny typ” – pomyślałam z sarkazmem, chociaż prawdę mówiąc, ten gest mile schlebił mojej dumie.

– Cześć, dla ciebie.

Cały był skupiony na mojej twarzy, zaś jego oczy wyrażały taki zachwyt, że mimo kąśliwych przemyśleń, ogarnęło mnie poczucie satysfakcji. Podobałam się!

- Cześć. Piękny storczyk, szkoda żeby zwiadł.
- Podaruję ci następnym. Jeszcze piękniejszy.

Jakoś tak sami z siebie ruszyliśmy w kierunku zamku. Ciepło i słońce ściągnęło do pałacowych ogrodów spacerowiczów, i to nie tylko miejscowych. Oczywiście nie miałam ochoty na spotkania z jakimikolwiek znajomymi, lecz chociaż znałam ustronne zakątki, wolałam unikać wrażenia, że specjalnie szukam okazji do intymnego tête-à-tête. Poza tym z pewnością Patryk sporadycznie tutaj bywał, więc wypadaloby wystąpić w roli przewodnika.

Dotarliśmy do rozwidlenia alejki.

- Co chciałbyś zwiedzić? – spytałam.
- Mówiąc prawdę, wołałbym z tobą porozmawiać. Pospacerujemy, a jak się zmęczysz, przysiadziemy na jakiejś ławeczce.

Skręciliśmy w lewo. Alejka wiodła pomiędzy rzadkimi odmianami drzew i zapierającymi dech rabatami i klombami. W milczeniu minęliśmy romantyczną Gloriettę, pawilon biblioteki, dotarliśmy do ogrodu włoskiego i przystanęliśmy przy rzeźbie Bachusa na panterze. Ponad dwieście lat temu niejaki Brenna Vincenzo<sup>10</sup> wykreował cudownie sielankową atmosferę, a siła jego geniuszu działa na ludzką psychikę do dziś – niezauważalnie zaczęliśmy rozmawiać o wszystkim i o niczym.

Ku mojemu zaskoczeniu, Patryk doskonale wyczuwał, że póki co, nie jestem gotowa na zbyt bliskie z nim relacje i najpierw próbował inteligentnie przekonać mnie do siebie. I aczkolwiek w swym zaślepieniu ignorowałam jego starania, musiałam przyznać, że fajnie się z nim rozmawiało i niczym z bicza strzelił, minęły

trzy godziny. Powoli dzień przygasł, zapadł zmierzch, zapłonęły uliczne latarnie jak też pierwsze gwiazdy na niebie, a od gąszczu drzew i krzewów pociągnęło chłodem. Ponieważ zatoczyliśmy ogromne koło i wróciliśmy pod bramę główną, powiedziałam:

– Późno już, nie wiem jak ty, ale ja muszę wracać do domu, inaczej babcia dostanie apopleksji.

– Mamże iść dalej, gdy tu moje serce?<sup>11</sup>

Zacytował ten nieśmiertelny zwrot miłosny niemal żartem, lecz tak pięknie, że stała się rzecz przedziwna. Poczułam ciepło wokół serca i niezmierną czułość, wypełniającą duszę. Przez chwilę patrzyłam na niego w osłupieniu, próbując ze wszystkich sił stłumić ten samozapłon uczucia, którego po prostu nie chciałam.



Spotkanie z Patrykiem wprawiło moją psychikę w totalną schizę. Nagle doznałam wrażenia, jakby moja osobowość rozjechała się na dwie współistniejące Paule Aster. Jedną pociągał Patryk, a drugą – wręcz przeciwnie.

Krótko mówiąc, miałam w sobie jednocześnie dwa skrajne uczucia. Ten gorączkowy natłok pozytywnych i negatywnych myśli, ta zwariowana huśtawka nastrojów tak mnie ogłupiły, że nie mogłam się odnaleźć. Nazajutrz, jadąc do szkoły, znów zanosiałam modły, żeby nie spotkać Patryka, ale guzik z tego. Stał przed wejściem głównym i wyraźnie na mnie czekał. Chociaż szłam z Mirką i Sławką, ruszył w moją stronę, a jego maślane oczy i uśmiech od ucha do ucha skuteczniej

niż teatralny afisz obwieszczały, co jest grane. Pieprzony Romeo.

– Cześć – rzucił niby nam wszystkim, lecz patrzył tak, jakby towarzyszyły mi dwie dziury w powietrzu.

– Cześć – odpowiedziałyśmy chóralnie.

Mirka i Sławka z właściwą sobie niedomyślnością niczego nie zakumały, tylko zaczęły szczerzyć do niego zęby. Trochę zbiło go to z tropu, ponadto tuż za drzwiami wejściowymi urządziła zasadzkę Radzia, dla której dyżur był integralną częścią procesu dydaktyczno-wychowawczego szkoły, więc żeby jej nie podpaść już na dzień dobry, każdy milkł i grzecznie dreptał do szatni.

Tego dnia Sandra odpuściła sobie pierwszą historię, zaś na drugi z kolei język angielski spóźniła się pięć minut. Właściwie nie tyle spóźniła, co zrobiła super efektowne „wejście”. Ubrana była w czerwoną sukienkę, podkreślającą talię i biust, fikuśne rajstopki i czerwone szpilki. Strój uzupełniała fryzura w stylu glamour oraz najczerwieńsze z czerwonych i błyszczące jak lukier na truskawkowym torcie usta. Jezu! Wyglądała jak gwiazda filmowa, która z powodu jakiegoś nieprawdopodobnego zbiegu okoliczności weszła do naszej klasy.

– Guten Tag, herr Brożek. Pardon, verschlafen<sup>12</sup>, a do tego uciekł mi autobus – makaronizując i radośnie wymachując torebką, mogącą pomieścić najwyżej jeden zeszyt, usiadła w ławce.

Wszystkich, z wyjątkiem nauczyciela, zamurowało.

– Winnicka, wstań – polecił. – Dostajesz uwagę do dziennika, a na przerwie zgłosisz się do profesor Radzyńskiej.

Wstała powoli.

– Wolałabym tę kwestię załatwić z panem osobiście. W końcu rzecz dotyczy języka angielskiego, prawda?

– Rzecz dotyczy twojego niewłaściwego zachowania, natomiast jak na razie, język angielski jest ci całkowicie obcy i jeżeli zgodnie z obietnicą nie nadrobisz materiału, będziesz musiała powtarzać rok, albo zmienić szkołę.

– Ależ za wcześnie mnie pan przekreśla, robię, co mogę...

– Koniec dyskusji. Usiądź.

– Odbiło ci czy co? – spytałam szeptem, gdy już usiadła.

Nie doczekałam odpowiedzi, ponieważ profesor zarządził pisanie testu sprawdzającego.

Sprawdzian napisałam wyjątkowo dobrze. Natomiast Sandra, nie wiedząc czemu, odrzuciła moją pomoc i z jakąś zdumiewającą uciechą oddała nauczycielowi czystą kartkę. A kiedy zadzwonił dzwonek na przerwę, zamiast skomentować jakoś swoje postępowanie, powiedziała:

– Chłopcy skitrali większą kasę. O czternastej czekają na nas w *Grotesce*.

– Ostatnia lekcja kończy się o czternastej zero pięć – zauważyłam.

– To matematyka, odpuścimy ją sobie, a zdążę jeszcze wpaść do złotnika oddać kajdan<sup>13</sup> do złutowania.

Pomysł Sandry nie zachwycał, jednak... uległam mu. Zadzwoniłam tylko do domu i skłamałam, że wrócę nieco później, bo jadę do koleżanki przygotowywać



referat na temat teatru elżbietańskiego, a u Radzi zwolniłam się pod pretekstem nieżyty żołądka. Niezadługo moje początkowe wyrzuty sumienia wyparło poczucie szczęścia. Ale po kolei.

*Groteska*, a właściwie restauracja i hotel *Grotesque*, zlokalizowana jest w samym centrum miasta, w urokliwym przesmyku odbiegającym od Rynku, w pięknie odnowionej, zabytkowej kamienicy. Towarzystwo siedziało przy stole, zastawionym jak na ucztę u Lukullusa<sup>14</sup> i zaśmiewało się z dowcipów, opowiadanych przez Gabę. Byłam zdumiona, że jeszcze niedawno, idąc do Mariusza, robiliśmy zrzutkę na tanie wino i słone paluszki, a tu proszę, drogie drinki, soki i przekąski... prawdziwe dolce vita. Robert zafundował sobie markowe okulary przeciwsłoneczne przynajmniej za pół tysiąca złotych, Gaba – wypasiony zegarek z trzema tarczami na cyferblacie, poza tym wszyscy mieli na sobie nowe, luksusowe ciuchy. Niemal automatycznie znalazłam wyjaśnienie – tak naprawdę, są oni bogatymi facetami, tyle że znudzonymi codziennym przepychem, więc od czasu do czasu hołdują trendowi „ekskluzywnego menelstwa”<sup>15</sup>. Nawet w duchu pogratulowałam sobie przenikliwości umysłu.

Nasze przybycie powitano chóralnym aplauzem.

– Dziewczyno, za spóźnienie karniaka. Co sobie życzyce? – spytał Robert.

– Dla mnie *Absolwent Citron* – powiedziała zdecydowanie Sandra.

– Dla mnie też – powtórzyłam za nią bez namysłu, gdyż jak dotąd, nie zdążyłam wyrobić sobie trunkowego gustu.